

Marek Sołtysik

Jan w cieniu Marii, Maria jako Piotr w mroku

Palestra 51/5-6(581-582), 219-225

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

PROCESY ARTYSTYCZNE

Marek Sołtysik

JAN W CIENIU MARII, MARIA JAKO PIOTR W MROKU

Kraków, 14 października 1898, sobota. „Czas” donosił:

„Dziś rano o godz. 9 przed zwyczajnym trybunałem odbyła się rozprawa przeciw p. Janowi Lemańskiemu z Warszawy, który dnia 15 z.[zeszłego] m.[miesiąca] sześć razy strzelił z rewolweru na plantacjach [Plantach krakowskich] do żony swej Marii i p. Oszackiego. Rozprawie przewodniczył p. radca Ferens; bronił obwiniętego adwokat dr Stanisław Abłamowicz. Rozprawie przysłuchiwało się grono publiczności. Przebieg rozprawy wykazał, że zazdrość, jaka objawiła się u p. Lemańskiego względem jego żony, nie miała żadnych podstaw i działał on w krytycznej chwili pod wpływem nadmiernego użycia trunków, ogarnięty szałem i prawie nieprzytomny. Po ukończeniu rozprawy ogłosił p. radca Ferens wyrok uwalniający p. Lemańskiego”.

Szukam w poźółkłym roczniku „Czasu” wiadomości o zdarzeniu sprzed miesiąca poprzedzającego powyższą notatkę. Nie ma o tym śladu. Być może – myślę – relacje o zamachu na cesarżową Elżbietę i o śmierci tej wspaniałej damy oraz o przebiegu rewizji sprawy Dreyfusa przesłoniły informację o charakterze poniekąd bulwarowym. Ale nie – mamy tu przecież lokalne notki o zbiegłych defraudantach, o nożownikach, o zamożnej ziemiance, która przy ul. Szlak w swoim mieszkaniu, naga, oblana naftą, podpaliła się po pogrzebie ukochanej wnuczki... z odredakcyjnymi dywagacjami, co mogło się stać z jej pieniędzmi.

Ale oto jest ślad. W numerze sprzed miesiąca, czyli akurat z 15 września 1898, kiedy przy kościele Kapucynów powtórnie zakwitł kasztanowiec, „Czas” podał w swojej Kronice: „– Pani Maria Lemańska, z domu Komornicka, utalentowana młoda nowelistka i poetka, bawi w przejeździe z Zakopanego w naszym mieście”.

O tym, że przybyła z mężem, poetą i bajkopisarzem, Janem Lemańskim, ani mru-mru.

13 września w ciągu dnia w cieniu było +27°C. 14 września rano +11,4°C, wiatr północny, ciśnienie się podnosiło. Właśnie przybył także z Zakopanego Henryk Sienkiewicz, żeby przenocować w Krakowie i zaraz jechać do Warszawy. Tymczasem państwo Lemańscy wybierali się do Paryża...

15 września było dość pogodnie. Termometry od +8,2°C rano podniosły się do +20,9°C w południe.

Mimo że w nocy 15 września odstawionej z Plant do dyrekcji policji przez Towarzystwo Ratunkowe parze rannych udzielono pierwszej pomocy i odwieziono ich wraz z czułym znów dla żony napastnikiem do Szpitala Św. Łazarza na oddział chirurgiczny, 16 października w krakowskiej prasie wciąż mamy spokój. Nie ze względu na żalobę po cesarzowej Elżbiecie. Bo dopiero 20 września „Czas” wyjaśni:

„Tragiczne zajście pomiędzy p. Lemańskim i jego żoną przemilczeliśmy dotychczas czyniąc zadość prośbie zainteresowanych osób i nie chcąc nadawać rozgłosu tej smutnej sprawie. Obecnie, gdy dzienniki lwowskie podają szczegóły tego przykrego wypadku, zamieszczamy jego opis”. Tu następuje relacja, niemal dosłownie przytoczona po latach przez krytyka literackiego i teatralnego Jana Lorentowicza, dobrego znajomego dziwnej pary: wówczas dwudziestodwuletniej, niezwykle inteligentnej, utalentowanej, dynamicznej, odważnej, łamiącej konwenanse pisarki i trzydziestodwuletniego, melancholijnego, wyciszonego poety.

W dwa lata wcześniej owa Maria Jakubina Komornicka, z bogatego i pełnego sztuki domu właścicieli ziemskich z nad Pilicy, już w wieku 16 lat autorka zauważonego zbioru wydanych drukiem dojrzałych opowiadań, nie czekając na słowo starszego, skrytego kolegi Lemańskiego, spostrzegłszy, że jest przedmiotem jego zauroczenia, działając wbrew stereotypom, oświadczyła się mu, ubogiemu poecie, z dyplomem prawnika, który zrezygnował z kariery adwokackiej i wybrał życie artystyczne, ale żeby odplacić się matce, na jej prośbę przyjął nużącą i odpędzającą muzy posadę urzędnika na kolei. Maria Komornicka pomogła mu podjąć decyzję rzucenia posady. Potem już szybko, 23 czerwca 1898 roku ślub w Warszawie, w kościele na Grzybowie. Oto jak widział to Lorentowicz („Spojrzenie wstecz”, Warszawa 1935): „Komornicka miała naturę bardzo skomplikowaną; przy umyśle racjonalistycznym, paliły się w niej niesamowite ognie i żądze. Lemański, pomimo swego talentu satyrycznego, był lirykiem wyjątkowej miękkości i słodczy; usposobienie miał dziecięce niemal, dobroć nadzwyczajną. Zamknięty w sobie, ukrywał przed najbliższymi mu ludźmi mękę, jaką przechodził. A męka była okropna. Od pierwszych chwil po ślubie żarła go zazdrość...”

I oto ten mężczyzna, uosobienie łagodności, w ciepłą wrześniową noc jednej z najśliczniejszych jesieni w dziejach Europy, zamieni się w mściwego, bezwzględного potwora.

W stosunku do kogo? Do żony – niepozornej, drobnej, ostrzyżonej, przeto wyglądającej jak młody chłopiec. Ale ta żona – nie wolno nam zapominać, już od kilku lat była słusznie określana jako „fenomen inteligencji i talentu”. Zdziwienie otoczenia, zapędzanie rozmówców w kozi róg były jej specjalnością. Duża wiedza,

giętkość umysłowa, niezależność, poczucie własnej wartości, wreszcie to, co nazywamy klasą, nie pozwoliło tej wykształconej gruntownie w dobrym domu pannie (uczył ją m.in. historyk i krytyk literatury, profesor Piotr Chmielowski) wytrwać w kolegium Newnham w Cambridge. Po pierwszym semestrze dama – określana przez Lorentowicza jako „organizacja na wskroś genialna” – opuściła te mury zniesmaczona z powodu niedoceniań nielicznych studiujących tam kobiet.

Policja po pierwszej w nocy zaalarmowana odgłosem wystrzałów zjawiała się błyskawicznie. W świetle gazowych latarń, z pomnikiem Jadwigi i Jagiełły w tle, stróże prawa zobaczyli obok ławeczki na alejce scenę jak z horroru. Kobieta (Komornicka-Lemańska) leży na plecach, a jej ręce, którymi obejmuje leżącego na niej mężczyznę (Juliusza Oszackiego), są zbroczone krwią. Obok z rewolwerem przy skroni stoi mąż krwawiącej kobiety (Jan Lemański) i bezskutecznie – gdyż naboje się wyczerpały – usiłuje odebrać sobie życie.

A przecież Lemańscy wciąż byli w podróży poślubnej. W kilka dni po ślubie, w lipcu, wyjechali z Warszawy do Zakopanego i pewnie wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby nie ten trzeci. (Czy Juliusz Oszacki był trzecim tylko w oczach zazdrosnego męża?) Ten towarzyski, przystojny i miły daleki krewny młodzianki żony Lemańskiego wyskoczył jak diabeł z pudełka i robił wszystko, by nowożeńcom urozmaicić pobyt pod Tatrami. Urządzał dla nich wycieczki w góry; codzienne spotkania we trójkę miały serdeczny charakter, a mało tego, tak się jakoś złożyło, że idealnie zbiegł się w czasie moment ich powrotu! Więc najpierw do Krakowa, gdzie mieszkał Oszacki (i gdzie pani Maria Komornicka, przed Zakopanem, widziała go tylko raz w życiu cztery lata wcześniej). W Krakowie znaleźli się w pierwszej dekadzie września, tam bawili się, udzielali się towarzysko i tam 13 września dotarła do nich wieść o zabójstwie cesarzowej Elżbiety. W tych dniach właśnie, kiedy z kościołów, gmachów państwowych, a także z okien kamienic zwisały żałobne flagi, kiedy po otrzymaniu z Wiednia depeszy o tragedii w Genewie w trakcie drugiego aktu komedii Sardou „Nasi najserdeczniejsi” w Teatrze Miejskim wyszedł na scenę aktor Milewski i powiedział: „Z powodu bolesnej wiadomości o śmierci Najjaśniejszej Pani przedstawienie się nie odbędzie”, kiedy młody pisarz Adolf Nowaczyński tejże nocy w czynnej bez przerwy restauracji Rosenstocka przy dworcu, przesadziwszy wzniósł toast „Niech żyje anarchia!” i znalazł się w opałach, w mieście zrobiło się dziwnie. Tymczasem Lemańscy gotowali się do dalszej części podróży poślubnej. 15 września spędzili wieczór u rodziców Juliusza Oszackiego, żeby około godziny 23 wyjść w jego towarzystwie. Przed jutrzejszą podróżą do Paryża wypadałoby wychylić strzemiennego. Gdzie najlepiej? U Turlińskiego, wśród swoich, gdzie artyści. Wyszli z lokalu, gdy hejnalista na wieży Mariackiej zagrał po raz pierwszy od północy. Byli, jak „Czas” sprawozdawał, „w zupełnie przyjaznym usposobieniu”, kiedy zmierzali w stronę pensjonatu, gdzie Lemańscy zamierzali przespać noc przed forsowną podróżą. Czy Komornickiej-Lemańskiej i Oszackiego nie powinien był zaniepokoić wyjątkowo świetny humor Lemańskiego, jak na humorystę przystało, na co dzień zamkniętego w sobie milczka? I jeszcze jedno: jemu się śpieszyło do łóżka, jego młodej żonie – jakoś nie.

Według wersji oficjalnej, cała trójka usiadła na ławeczce, Lemański już nie żartował, za rękę szarpał żonę, która wciąż jeszcze się przekomarzała, a przeciwstawiając się jego planom, proponowała właściwie nie bardzo wiadomo co. W każdym razie opór, który mu stawiała, skłaniał go do agresji. Spostrzegł, że Oszacki coś szepce do ucha Marii i to wyprowadziło go z równowagi. Wstał z ławki, po nim podniosła się Maria, która „kuzynowi”, wciąż jeszcze siedzącemu, w ten sposób zaślaniała swego męża, Oszacki usłyszał nagle jej słowa: – Co robisz?!

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Z tego, że to nie żarty, zdał sobie sprawę ten trzeci w momencie, kiedy do nagle uciekającej Marii mąż oddał dwa strzały. Oszacki ruszył w pościg za napastnikiem. Zamiast obezwładnić uzbrojonego, widząc, że Maria uciekając upadła lub może rozmyślnie się rzuciła na ziemię, padł i osłonił ją własnym ciałem. Wtedy Lemański, już w straszliwym szale, oddał do leżących jeszcze cztery strzały. Gorączka musiała zasłonić mu oczy, inaczej miałby na sumieniu dwa istnienia ludzkie.

„Pani Lemańska – pisał „Czas” w pięć dni po zdarzeniu – otrzymała dwie lekkie rany w oba ramiona. Stan jej zdrowia jest dziś zupełnie pomyślny”.

To była wersja dla prasy. Dosyć gładka. Mogło być inaczej. Lemański, przysnąwszy na ławce, mógł się przebudzić i przyłapać kochanków *in flagranti*. A tajemnica poliszynela? „Kuzyn” Oszacki był – jak to opisze po latach Lorentowicz, zresztą pefen podziwu dla genialnej osobowości Komornickiej – rywalem. Miejsce na wzgórkach, w półmroku, pod ciepło rozświetlonymi gazowymi latarniami pomnikiem – romantyczne – stanowiło znakomitą scenerię do zdrady małżeńskiej lub choćby do skradzionego pocałunku. Może potrzebna była ta scena w dniu, kiedy z powodu żałoby odwołano spektakle w teatrze miejskim. Dwudziestodwuletnia żona Lemańskiego przez pierwszy miesiąc doznała już, czego chciała ze starszym o dziesięć lat mężem, człowiekiem miękkim, dobrym, o słabym charakterze!, wyrównała w ten sposób temperaturę uczuć (bogaty wszechwładny ojciec, Augustyn Nałęcz Komornicki, tyranizował ją despotyzmem) i miała zwyczajnie dość. Walczyć, zdobywać, porzucać – to był jej cel. Teraz, wylizawszy się z ran, jedną z kul wydobytych z jej ramion nosiła przy zegarku jako brelok...

Podróże zagraniczne odwlekły się, ale nie uciekły. Z początkiem 1899 roku w najlepszej komitywie, jak się mogło wydawać postronnym, udawali się właśnie do ciepłych krajów; zatrzymali się jednak w Wiedniu i tam wystąpiły pierwsze symptomy niebezpiecznej choroby Lemańskiego. Żaden z przyjaciół Lemana – jak go nazywali – nie precyzuje, co mu było. Riwiera musiała poczekać, stan chorego bowiem, nagle w obcym kraju przykutego do łóżka, zmusił go w czerwcu do poddania się w Salzburgu poważnej operacji chirurgicznej. Maria czuwała przy mężu, była dlań pielęgniarką i potem przez długie tygodnie opiekunką. W szpitalu i w hotelu narzuciła sobie rolę „tragicznej młodej żony”, jak to określa Maria Dernałowicz (*Piotr Odmieniec Włast*, „*Twórczość*” 1977, nr 3). Już nie kochała; cóż, dla niej, żyjącej szybko, jeszcze jedno doświadczenie życiowe. Potem długo towarzyszyła mężowi podczas rehabilitacji na Riwierze, a wreszcie pojechali do Włoch,

żeby zobaczyć wszystko, co tam jest najpiękniejsze, a co zrodzone z natchnienia, Florencja więc, Wenecja, Rzym. Kolor nieba nad głową i błękity na freskach Fra Angelica. A potem... po powrocie wiosną 1900 roku rola Marii przy Janie skończyła się definitywnie. Kurtyną po odegranym przedstawieniu pod tytułem „małżeństwo” okazało się jej postanowienie rozstania się z nim. Był już u siebie, mógł wrócić do matki i do siostry, on, dobry, myślała, pisarz, ale człek niedojrzały emocjonalnie. A ona potrzebowała olbrzymiej swobody... a może odwrotnie: mocnej ręki?

Jan Lemański nie wyobrażał sobie życia bez Marii. Usiłował związać zerwaną nić, aranżował niby to przypadkowe spotkania. Ona także – pewnie już tylko dla pisarskiego eksperymentu – stwarzała wrażenie ciepła, które jest bliskie nadziei. Do momentu, w którym doszła do wniosku, że grozi niebezpieczeństwem: skutkami nie do przewidzenia, jak to już bywało u milkliwego Jana... który przeżył kolejny wstrząs. Strzałem z rewolweru odebrał sobie życie jego brat Bolesław. Człowiek, z którym był bardzo blisko. Nieprzytomny z bólu poeta wplótł róże we włosy trupa brata, w stygnące dłonie włożył mu przywiezioną z Italii reprodukcję „Madonny” Ghirlandaja, jego pamięć utrwalał w wierszach.

W roku 1900 formalna separacja wyjaśniła status Lemańskich. Skończyła się szarpanina powrotów i rozstań. Oczywiście, bajkopisarz cierpiał, znów mieszkał biednie z matką staruszką w Warszawie, Komornicką widywał niekiedy w redakcji „Chimery”, gdzie Zenon Przesmycki-Miriam zatrudnił go jako sekretarza, towarzysza nocnych improwizacji poetyckich. To Miriam umocnił wiarę utalentowanego Lemańskiego w sens jego posłannictwa: odnowienia formy satyry w dydaktyce. A poza tym... Lorentowicz, zaszedłszy kiedyś do mieszkania Lemańskiego, zastał jego matkę, wskazującą na widniejącą na komodzie fotografię Marii Komornickiej, ze słowami: „– Nie ma siły, która by go mogła oderwać od tej kobiety. To jest, proszę pana, jakieś przekleństwo. Żyje tylko nią i dla niej. Poza nią nic go nie zajmuje”.

Maria tymczasem, autorka rewelacyjnego cyklu poematów „Czarne płomienie”, 13 listopada 1903 roku w Paryżu pisała do byłego męża w Warszawie: „Nie gniewam się, i Ty mi z serca odpuść, i pokój nad Tobą, nad nami, nad nami wszystkimi. Maria. Przyślij mi swe «Bajki»”.

Pisała o nocach, z dala od zgiełku, w biednej pracowni malarskiej przy Rue Campagne-Première. W Bibliothèque Nationale przestała bywać, zniechęcona spojrzeniami czytelników, skierowanymi na nią, która – chyba nie pod wpływem lektury – klękała do pacierza. Sama nie wiedziała, dlaczego. Wyznawała wszak witalizm nietzscheański, zbliżony do egzystencjalizmu: samotność w świecie bez Boga, bez sankcji moralnych. Cel – śmierć. Świadomość absurdalności życia kazała jej padać na kolana wśród ton książek? Odtąd zmieniła miejsce: całymi dniami przesiadywała w Bibliotece Polskiej. Początkowo było normalnie, prawie ascetycznie, ale... Siwobrody, długowłosego syna wieszczka, zawsze krzątający się pośród książek i czytelników Władysław Mickiewicz zaczął jej się multiplikować w oczach, potem gdzieś głębiej. Wyobraźnia podsuwała jej niezwykle obrazy, które wpełzały w realne widzenie świata.

Atak szału. Tam, w ciszy biblioteki nagle chlusnęła kustoszowi w twarz szklanką wody. Władysław Mickiewicz zawiadomił o zajściu powieściopisarza Wacława Berenta; autor „Próchna” wspólnie z Antonim Potockim, działaczem kulturalnym na emigracji, nadawszy telegram do Warszawy, do Miriam-Przesmyckiego, ruszyli wraz z lekarzem i sanitariuszem do pracowni Marii Komornickiej. W stanie katalepsji przewieziono ją do szpitala. Niebawem przyjechała z Warszawy matka (Anna z Dunin Wąsowiczów) z najmłodszą córką. Kiedy środki ostrożności stosowane w ciężkich przypadkach zdawały się już być zbędne, chorą, która już nawet miewała *lucida intervalla* (chwile przytomności umysłowo chorych), przewieziono do Warszawy, a potem do Grabowa, rodzinnego majątku. Bliscy ludzili się, że uraz minie. A uraz, niby to ślad ataku, polegał na tym, że Maria odtąd nie pozwalała nikomu zwracać się do siebie inaczej jak tylko „Piotrze”. (Od paru lat publikowała jako Piotr Włast, odtąd już tylko tak będzie się podpisywać.) Włosy ścięła zupełnie krótko. Równo: pół centymetra przy skórze. Potem dentysta: wyszła z jego gabinetu dopiero wtedy, kiedy przestał się sprzeciwiać i wyrwał jej wszystkie zęby. Własne zęby nigdy jej się nie podobały: krzywe, od lat szerniały od nikotyny. Nie zwracając uwagi na rozpacz matki, gdy po tygodniu opuchlizna zeszała, przed lustrem delektowała się nowym wizerunkiem. Garnitur, sztywny kołnierzyk, krawat. W wychudzonej twarzy nos zbliżył się do bezzębnych warg z międloną w dziąsłach nieodłączną fajką, nadając twarzy wyraz złowrogiej powagi. Oczy coraz większe, w ciemniejących otoczkach. Płonęły pod kuchenną blachą kobiece suknie i fatałaszk.

Z satysfakcją i ku rozpaczyci matki „dobila w sobie młodą kobietę” – pisała Maria Dernałowicz we wstrząsającym studium o tej niezwykłej postaci.

3 kwietnia 1912 roku pisała o czterdziestoletnim mężczyźnie młoda Zofia Nałkowska: „parę rozmów nieumyślnych (na tle małej cukierni) z Lemańskim, którego opieszała zrazu rozmowność w miarę spotkań znacznie się ożywiła. Tematem była filozofia i literatura, treścią zaś pewne próby flirtowania o łagodnym odcieniu i jak gdyby augurowatym charakterze. Cenne u tego ponurego pana słowa rycerskie o niezwykłości mych oczów oraz zaletach stroju”. W dwa lata później (3 II 1914) [cytaty z „Dzienników” w opracowaniu Hanny Kirchner]: „Zasmuca mię ten tragizm, zawisły nad każdym przerostem ducha. Jakiż to delikatny i niepewny instrument – mózg, dziwny cudny organ największych przecież upojeń i zachwyków, najdoskonalszych wzruszeń. Ciężko mi pomyśleć, gdzie podział się cudny talent i pochmurna dusza Komornickiej, zamknięta od wielu lat w domu obłąkanych. – Tutaj, na tych Górkach, prowadziłam z nią jako dziecko «mądre» rozmowy. Raz z powodu *Głodu* Hamsuna dziwiłam się, jak to można bać się dla siebie obłądu. «Ja rozumiem, że można», powiedziała wtedy ona. Teraz i ja rozumiem, że można”.

Jan Lemański wrócił do walki z niedostatkiem. W czasie I wojny światowej, rezydent w domach zamożniejszych przyjaciół w okolicach Warszawy i w majątkach pod Łomżą, nie zapominał o ludzkich powinnościach: podczas epidemii chodził po wsiach i dezynfekował chaty. W odrodzonej Polsce pracował w MSW – na

stanowisku cenzora filmowego. Narażał się na poważne kłopoty, ponieważ wychodząc poza zakres obowiązków, krytykował, wyszydzał i tępił filmy o niskiej wartości artystycznej. Błędym świtem kolejną próbę samobójstwa uniemożliwiła mu siostra (po śmierci matki mieszkali wspólnie, opiekując się sobą wzajemnie). Odłożył rewolwer, wypił kawę, chwycił teczkę i poszedł do biura. A jednak opadał z sił. 11 listopada 1933 roku, kiedy posłaniec doręczył mu od stęsknionych koleżanek i kolegów z wydziału serdeczny, skrzący się humorem adres, Lemański wzruszony, usiadł na otomanie i umarł.

Za życia zapomniano o nim jako o pisarzu, a i on, autor wydanej w r. 1906 świetnej powieści satyrycznej „Ofiara królowej”, dał o sobie zapomnieć. Tłumaczył Conrada, ale wyparła go z rynku ekspansywna, choć niższych odeń lotów, krewna autora „Szaleństwa Almayera” Aniela Zagórska. Odznaczony został komandorią... nie jako pisarz... jako radca ministerialny, za wzorową służbę. Tworzył do końca. Zostawił w szafie kilkanaście paczek manuskryptów. W jednej z jego tek pośmiertnych znaleziono obłąkańcze zapiski Marii Komornickiej (podpisywane jako Piotr Włast), czynione w formie pamiętnika w Tworkach. Straszne teksty, ze śladami potężnego talentu, były zawinięte w gazetę z roku 1932. Odtrącony mąż sięgał do nich niemal do końca.

W Krynicy 3 sierpnia 1947 r. Zofia Nałkowska (kuracjuszka akceptująca nowe porządki) zanotuje, że jej najbliższa przyjaciółka, Zofia Villaume-Zahrtowa „odnalazła Marynię Komornicką w jakimś przytułku dla starców, w nędzy. Ma u siebie jej rękopisy, pisane po polsku i po francusku: «ponura mistyka, jasnowidztwo, niesamowitość. (...) Są wiersze jakby z krawędzi obłądu, ale są i jasne, musujące, o przedziwnie łamanej linii». Jakże chciałabym teraz tam pojechać – gdybym potrafiła”.

Wcześniej, 29 sierpnia 1946 r., na kuracji w Polanicy, napędzana własnymi sukcesami, odganiała myśli, że może gdzieś potrzebuje pomocy zagrzebana w piachu zapomnienia tak przyjazna jej ongi mistrzyni. Hasło *Komornicka* wywołało u niej następującą refleksję: „wiem o niej, że jest obłąkana od wielu lat, zapewne już nie żyje”.

Ktoś jednak musiał zadziałać – bo w tamtych latach Komisja Pomocy Pracownikom Sztuki i Nauki przy Prezydium Rady Ministrów przyznała Marii Komornickiej stałą dotację. Utalentowana – jedna z grona tych dzielnych pisarzy, którzy robiąc wyłom w literaturze pozytywistycznej, wpuścili światło, ukazując nowe wartości z Młodą Polską na horyzoncie – zmarła 8 lutego 1949 roku w Izabelinie pod Warszawą.